



Kiedy siedzą na ławeczce naprzeciw sklepu „U Mariusza”, wyglądają równie barwnie, jak te z bajki „O sierotce Marysi i siedmiu krasnoludkach” Marii Konopnickiej. Kolorowe ubrania ze „szmateksu” lub z darów PCK. Czerwone nosy, na głowach kolorowe czapeczki.

Bywało, że podszedł do nich proboszcz i zaoferuje pracę przy naprawie placu przed kościołem lub ktoś z opieki społecznej aby wręczyć nakaz opuszczenia noclegowni.

Czasem znajomy dziennikarz przyniósł odwołanie od decyzji burmistrza lub wyroku sądu.

Z przejeżdżających radiowozów policyjnych wyglądają twarze pełne niechęci i nienawiści. Stróża prawa po prostu ich nie lubią. W powiatowej komendzie niedawno, w czasie przesłuchania jednego z „krasnoludków”, znaleźli rozwiązanie jego problemów. Zakopać w dole, w lesie i zalać wapnem.

„Liściasty”, człowiek legenda, już nie żyje. Nosił hełm przystrojony świeżymi gałęziami. Sąd „Liściasty”. Kiedy szedł ulicami, podziwiali go turyści. Miejscowy artysta – amator namalował jego portret. Tylko tyle pozostało po „Liściastym”. Zmarł w chlewiku. Opatrzność uwolniła władze samorządowe od kolejnego bezdomnego.

„Śmieciem”, a właściwie śmieciarzem numer jeden, wśród żyjących „krasnoludków”, pozostawał Leszek. Spokojny, nie wadził nikomu. Codziennie rano, ze swoim radosnym kundlem, wędrował przez miasteczko. Zbierał puszkę, resztki jedzenia, użyteczne przedmioty. Makulatury nie miał po co. Nikt jej tu nie skupuje. Podobnie jak butelek po piwie i wódce. Leszek przez wiele lat chorował na tuszczycę. Przez kilka miesięcy leczył go jeden z mieszkańców – pan Henryk. Za swoje pieniądze, w swoim mieszkaniu.

Pracowników opieki społecznej Leszek nie interesował. Umarł trochę później od pozostałych. Kiedy nie pił, potrafił o siebie zadbać a i pomyśleć o innych. Przynosił jedzenie i jakieś drobne na „Opal Kakę”. Taniej już wypić nie można. Ćwiartka denaturatu wymieszana z gazowanym napojem. Nalewki, co do ceny – ok. 5 złotych i objętości – „aż” 1 litra, jakby specjalnie produkowane dla „prowincjonalnej biedoty”, także za zgodą walczących z alkoholizmem. Tych z sali sejmowej i z administracji państwowej.

Choroby to jest to, co trzyma ich przy życiu. Andrzej ma padaczkę, ale nie „poalkoholową” jak mówią niezyczliwi. Całe życie przepracował jako murarz. Przy każdej okazji podkreśla z dumą, że i przy budowie metra w Warszawie i przy Sanktuarium w Licheniu. Godzinami może dyskutować o religii i budowaniu kominów. To jego specjalność.

Wiek robi swoje. Lekarz zabronił mu pracować fizycznie. Kazał leczyć nadwerżone strawy. Ale Andrzej pracować musi, bo przynajmniej na papierosy i chleb zarobić trzeba.

O lekarstwach, także tych tańszych, nie ma co marzyć. Jest jednym z pierwszych

mieszkańców miasteczka - dawnej bazy Armii Czerwonej. Przyjechał z kieleckiego, skuszony programami telewizyjnymi i prasowymi reportażami.

Pierwsze polskie władze Bornego Sulinowa, na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, obiecywały tanie mieszkania i pracę. Dużo pracy przy odbudowie, rozbudowie, w turystyce i - jak o tym teraz mówią bezrobotni – „na księżycu”. Praca była, ale najczęściej „na czarno”. Mieszkania komunalne pierwsza pani burmistrz przyznała „swoim” – w większości mieszkańcom okolicznych wiosek. Kolejni włodarze problemu bezdomnych i bezrobotnych także nie dostrzegali. W końcu tych „z marginesu” było kilku. O swoje nie potrafili się upomnieć, a o ich głosy w czasie wyborów samorządowych nie trzeba było zabiegać. Chorowali, umierali, i tak problem rozwiązywał się sam.

Jurek do śmierci widział źle lub wcale. Szkoda mu było życia, zwłaszcza najbliższych, którzy mieszkają kilka kilometrów od Bornego Sulinowa. Bo to ogromny wstyd przed rodziną i sąsiadami, że on tak źle skończył.

Najczęściej pracował z Andrzejem, u księdza. Muszą się pilnować. Żadnego alkoholu, spóźnień, czy obijania się. Wzroku nie leczył, bo nie miał za co. Kiedy wyrzucili ich z noclegowni, dbanie o siebie straciło sens. Jurek był młody, silny, bywał agresywny, ale jak o tym mówił - „sprawiedliwy”. Niekiedy nadmiar wypitego alkoholu pozbawiał go oceny rzeczywistości. Wtedy i z Andrzejem potrafił się pokłócić, pobić. Jednak zawsze zwyciężała trwająca od lat przyjaźń i wspólnota niedoli.

Nosił kilka blizn po spotkaniach z „pałami”, jak mówił o policjantach. Kiedyś pobili go do nieprzytomności. Przyjechało pogotowie. Wstrząs mózgu, pęknięcia kości. Policjantom nic się nie stało. On stanął przed kolegium. Już nie pamiętał, jaki był wyrok i czy go odsiedział.

„Ławka prześmiewców”, na której przesiadują jeszcze żyjący, stoi w centrum miasteczka. Naprzeciwko sklep spożywczy, gdzie życzliwy właściciel, kiedy może, odłoży „końcówki” dobrych wędlin. Dostają je za darmo. Nieopodał urząd pocztowy. Nowoczesny, kolorowy. Jeden z pierwszych budynków wyremontowanych, po odejściu Rosjan z Bornego Sulinowa. To tu przed laty autor telewizyjnych audycji kryminalnych Michał Fajbusiewicz zrealizował reportaż telewizyjny o jakimś napadzie. Teraz jest właścicielem rancza nad jeziorem. Został honorowym mieszkańcem. Promocja Bornego Sulinowa w programie „997” została doceniona.

Z tyłu „ławeczki prześmiewców” - kościół. Doskonale widać, czy „batman”, czyli proboszcz, jest u siebie i od razu wiadomo, czy można liczyć na zarobek. Proboszcz jest surowy. Gani za picie, ale pomaga jak może. Jakieś prace remontowe, odgarnianie śniegu. Tym w więzieniu potrafi wysłać paczkę lub wpaść do nich na widzenie. Kiedy głód bezdomnemu zagłada w oczy, ksiądz z własnej lodówki odda to co ma. Zawsze znajdzie czas na rozmowę. Potrzebujący nie odchodzą z pustymi rękoma i bez dobrego słowa.

Biednych, bezradnych jest wielu. Pani Regina mieszka kilka kilometrów od miasteczka. Prawie codziennie, niezależnie od pory roku, przyjeżdża na rowerze ze swojej wioski. Kiedy proboszcz widzi ją przed bramą, wyjmuje wcześniej przygotowane monety.

Siostry zakonne też pomagają. Torby ryżu, mąki, kaszy wypełniają zawieszane na kierownicy roweru siatki.

Pani Regina nie jest bezdomna. Ma pokój z kuchnią w baraku należącym do nadleśnictwa. Dwóch synów. Jeden od lat choruje, drugi - częściej w więzieniu, niż w domu. Córka nie żyje, zmarła w sile wieku na raka lub gruźlicę. Pani Regina liczy tylko na siebie. Nauczyło ją życie. Hitlerowcy wywieźli na roboty do Niemiec. Wytrwała biedę i poniżenie.

- Hitlerowi spod pieca uciekłam i wróciłam pieszo do domu, do Polski – opowiada. Podobno amerykańskie, w tej drodze do Polski oddali jej pod opiekę dziewczynkę. Teraz, pokazywana z dumą przez panią Reginę na kolorowym zdjęciu, przystojna pani przysyła kartki ze Szwecji. Ma przyjechać i podziękować za ocalenie. Może coś przywiezie i życie Pani Reginy odmieni się. Ma ponad osiemdziesiąt lat.

- Może bym dostała odszkodowanie za pracę przymusową, gdyby w gminie, kiedy był ku temu czas, dokumenty pomogli przygotować? - zastanawia się.

Do urzędu chodzi często. Prosi o pomoc, o przydział chrustu na zimę, o jakieś mieszkanie zastępcze. Pani sekretarz urzędu gminy z niej się wyśmiewała. Że udaje, że biedna, że żebrze. Odeszła milcząca. Leśnicy komornika nasłali, żeby za nędzny kąt zapłaciła. Zaległe kilka tysięcy złotych potrącają jej z renty. Kiedyś obiecywali pomoc. Teraz zbywają, unikają. Spiekota, czy śnieg, pani Regina na rowerze kilkanaście kilometrów dziennie jedzie do księdza, do sióstr, do pani Eli z ulicy Chrobrego, bo ta ma dobre serce i podanie napisze i do stołu zaprosi.

Turyści z Niemiec gawęd pani Reginy o wojennej tułaczce wysłuchują chętnie. Parę euro ofiarują.

Pani Regina po niemiecku rozmawia. Nawet przeklinać potrafi. Przysiądzie czasami na „ławce prześmiewców” i celny komentarz wygłosi o tych, co to mogą, a pomoc nie chcą. Kolejnych burmistrzów nie lubi. Poprzedni nosił takie samo jak ona nazwisko. Ale jej nic to nie dało.

Zwodzą ją od lat, a sił już nie starcza na to proszenie. A przecież na nich głosowała. Na poprawę losu liczyła. Gdyby nie las i jeziora, to i do garnka czasami nie byłoby co włożyć. Nie co roku jednak wiadro wypełniają prawdziwki, jagody, czy leszcze i okonie.

Na ławeczce przysiądzie, jeżeli wolna, jeżeli nie ma na niej „krasnoludków”. Nie wadzą jej, a ona im. Jednak nie pasują do siebie. Jej bieda, bezdomność, osamotnienie są inne.

Dwa swoje stałe miejsca mają „krasnoludki”. Ławeczkę i „pensjonat na rurach”. Ciemną piwnicę w opuszczonym budynku. To, że to „pensjonat”, nie mają wątpliwości. Przez piwnicę przebiega instalacja centralnego ogrzewania. Zimą można spać pod jednym kocem. Przed budynkiem hydrant z bieżącą wodą. Wszędzie blisko. W „pensjonacie na rurach” mieszkają od lat. Z krótką przerwą.

Przez kilkanaście miesięcy istniała w miasteczku noclegownia. Sami ją urządzili. Pomalowali, wyposażyli w lodówkę, kuchenkę i telewizor. W to, co ludzie dali lub wyrzucili na śmietnik. Po zamieszkaniu w noclegowni coś się zmieniło. Zaczęli się leczyć, rzadziej pili. Czyste ubrania, mniej bezsensownych spacerów po ulicach i spania, gdzie popadnie. Raz jeszcze złożyli podania w gminie, o mieszkania socjalne - te od lat obiecywane, o wydanie dowodów osobistych i o jakąś pracę.

Z noclegownią to było tak. „Zamarzł” przyjezdny bezdomny na ulicy. Czy go pogotowie zabrało, czy sam odtajał i gdzieś poszedł – nie wiadomo?

Taką bajeczkę wymyślił Andrzejowi znajomy reporter. Ten opowiedział ją w urzędzie gminy. W „opiece” na wieść o zamierzonym zareagowali błyskawicznie. Umieścili bezdomnych w prawdziwym pensjonacie – „U Koziołka”. Opłacili pobyt. Dali czystą pościel i ręczniki. Przestraszyli się, że inni mogą zamarznąć. Szybko znaleźli pomieszczenie w budynku byłego „Inkubatora Przedsiębiorczości” i pozwolili je wyremontować.

Szło ku lepszemu. Andrzej wstąpił do klubu anonimowych alkoholików. Leszka siłą do lekarza zaprowadził. Jeść zaczęli systematycznie. Proboszcz pochwalił, policjantom też było trudniej o pretekst do interwencji. „Krasnoludki” miały swój dom, adres. Swoją małą nadzieję. Nie na długo. Dwóch pierwszych wyrzucono pod pretekstem nadużywania alkoholu.

Pozostałych, tych niepijących, choć chorych, po kilku tygodniach. Burmistrz tłumaczył, że budynek musi sprzedać, bo potrzebne są pieniądze. Zapakowane w worki na śmieci ubrania, drobne przedmioty, dokumenty, wyrzucono przed drzwi noclegowni, w czasie nieobecności bezdomnych. Podobnie lodówkę, kuchnię.

Dowiedzieli się o tym, kiedy poszli ze skargą, że potraktowano ich jak śmieci. Nikt nie chciał rozmawiać, a pisma o eksmisji doręczono im kilka tygodni po fakcie. Z wsteczną datą. W wyrzucaniu na bruk uczestniczył prezes koła PCK, pracownik ośrodka pomocy społecznej zarazem. O to nie tylko bezdomni mają żal. Przyjechał reporter z regionalnej stacji telewizyjnej. Pokazał prawdę, że piją, że przez lata nie zadbali o swój los, pokazał jak żyją w nieoświetlonej norze, na stercie do zawsze brudnej odzieży.

Burmistrz też się wypowiedział. Obiecał po raz kolejny pomóc. Z bezduszości i bezsensu eksmisji, wyrzucenia majątku „krasnoludków” na ulicę, już nie umiał się wytłumaczyć. Na budynku, w którym była noclegownia od lat wisi obdrapany napis „Inkubator przedsiębiorczości”. Wewnątrz nic się nie dzieje.

„Inkubator” ogłosił upadłość. Były prezes aktywnie działał jako zastępca szefa w lokalnym stowarzyszeniu przedsiębiorców i kupców. Taka prowincjonalna karuzela stanowisk.

„Krasnoludki”, to bezdomni widoczni na ulicach, bez jakiegokolwiek dachu nad głową. Są też inni. Mieszkający kątem u znajomych lub w wynajętych „na czarno” pokojach. Wstydzą się swojej biedy, swojego losu.

Bezdomnym pozostaje pierwszy prezes jednej ze spółdzielni mieszkaniowych – „Wspólnota”. Pan Jan jeszcze niedawno koczował w skleconej z czego się dało „budzie” obok śmietnika, na terenie osiedla, które sam budował. Obiecywano mu jakieś pomieszczenia socjalne, obiecywano pomoc. Na obietnicach się skończyło. Zamieszkał w budynku od lat remontowanym przez gminę. Tam mieli znaleźć się najubożsi, choć mówiło się, że większość mieszkań będzie na sprzedaż, ponieważ standard dla najbiedniejszych może być za wysoki. Pan Jan kilka lat temu chciał się wysadzić w powietrze. Wszedł na dach budynku biura z granatem lub bombami. Tego do dziś nie wiadomo.

Od samobójczego zamiaru odwiódł go proboszcz i dobrzy ludzie. Pisał skargi na lokalne władze, pisał o doprowadzaniu miasteczka do ruiny. Jeździł prosić o pomoc do Sejmu, do

Urzędu Rady Ministrów. Walczył, podobnie jak członkowie zadłużonej na miliony przez jego następcę, spółdzielni o odrobinę sprawiedliwości.

Jego następca, po kilku latach bezprawnego urzędowania, bo tak naprawdę prezesem nie był, a jedynie nim się mienił, dorobił się okazałego mieszkania, majątku. Wcześniej doprowadził do upadłości cudzy sklep. Następny otworzył w ramach spółdzielni zaciągając bezprawnie wielomilionowe kredyty. Sprawa dzięki garstce zdesperowanych spółdzielców znalazła się w sądzie. Pozbawieniu władzy prezesa – samozwańca, towarzyszyły sceny jak z filmu sensacyjnego. Jeden z mieszkańców swoją sparaliżowaną żonę przywiózł na walne zgromadzenie na wózku inwalidzkim. Inni nie zostali wpuszczeni. Głosowali nieuprawnieni. Przejęciu biura i sklepu przez nowo wybrane władze spółdzielni sprzeciwiali się miejscowi policjanci. Powoływali się na polecenie prokuratora. Prokurator w czasie rozprawy sądowej zaprzeczył. Bezdomność groziła także członkom innych spółdzielni mieszkaniowych.

W kilku popełniono wielotysięczne nadużycia. „Krasnoludki” na upadku spółdzielni mieszkaniowych ani nie zyskały, ani nie straciły. Może jeszcze jeden temat do omówienia na „ławeczce prześmiewców”.

Mieszkańcy Bornego Sulinowa, to w większości przyjezdni. Ze Śląska – górnicy kupujący za odprawy tanie mieszkania, z innych stron Polski – szukający szczęścia, pragnący odmienić swój los, poszukujący pracy. Skuszeni obietnicami w programach telewizyjnych, reklamami w gazetach, przyjeżdżali z nadzieją. Rozczarowanie przyszło szybko. Mieszkania były tanie, to prawda, ale nie dla wszystkich. Skandale w spółdzielniach szarpały nerwy.

O pracy nie było, co marzyć. Ta w pierwszej kolejności była i jest dla swoich, tutejszych. Upadały kolejno małe firmy. Wspomagać je miał „Inkubator przedsiębiorczości”. Miały być kredyty, pożyczki, pomoc prawna. Zabrakło nawet życzliwości. O tworzeniu lokalnej społeczności chętnie opowiadali kolejni burmistrzowie. Organizowali Święto Ziemiaka, imprezy z okazji nadania praw miejskich, przyjazdu pojazdów militarnych lub motocykli. Podstawą działania było nie integrowanie lecz skłócanie i tak zdezorientowanych przyjezdnych. Fantastyczne pomysły burmistrzów i radnych „odbudowy, rozbudowy i aktywizacji” nie doczekały się realizacji.

Borne Sulinowo miało stać się miasteczkiem trzech kultur: niemieckiej, rosyjskiej i polskiej. To historycznie kolejni gospodarze tych terenów.

„Park trzech kultur” mający ich zaprezentować nie powstał. Pomysłodawcą był „obcy”. To wystarczyło.

Nie powstał, z wyjątkiem wytwórni małej architektury ogrodowej, żaden zakład mogący zmniejszyć bezrobocie. Wykupione za grosze budynki nadal świecą oczodołami okien. Właściciele albo zbankrutowali, albo wyjechali. Dopiero niedawno władze miasteczka zaczęły egzekwować to, co zapisano w umowach. Po interwencjach mieszkańców i dziennikarzy. Zabezpieczenie terenów, niezbędne remonty mogące zapobiec ruinie. Kilkadziesiąt budynków stoi od lat i niszczeje. Bezdomni śpiący w piwnicach, choć mogliby pracować przy remontach, „chodzą na lewiznę”.

Wszystkiemu winne są „krasnoludki”. Czy te z ławeczki w centrum miasteczka?

„Krasnoludki” żyją za co się da. Wykopują z ziemi złom, czasami poniemieckie naczynia, sowieckie guziki od mundurów. „Skarby”, których jak w każdej byłej bazie wojskowej, nie brakuje. Borne Sulinowo, to nadal miejsce pełne tajemnic. Podobno pod ziemią istnieje drugie miasto, z zakładami produkcyjnymi, magazynami, kolejką. Podobno. To, co mogłoby stać się atrakcją turystyczną, władz samorządowych nie interesuje. Wierzą, że turystów przywiodą opowieści o grzybach i rybach i jarmarczne imprezy kulturalne. Organizowano już festiwal muzyki latynoamerykańskiej. Był ambasador. Po nim mieli przybyć z Meksyku inwestorzy. Na piciu tekili się skończyło.

Pobliskie, leżące na terenie gminy, miasteczko Kłomino – także była bazą wojskową, mieli opanować filmowcy, miłośnicy sportów ekstremalnych, żołnierze NATO. Opanowali miłośnicy cudzego, nie strzeżonego majątku i czas. Działali „z upoważnienia i w imieniu”... kolejnych burmistrzów. Budynki rozkradziono. Resztki popadły w ruinę, podobnie jak oświetlenie miasteczka i ciepłownia, powstałe za samorządowe pieniądze.

W lutym 2007 roku jeden z bezdomnych, zdaniem policji - z niewiadomych powodów, chciał wysadzić stację benzynową w powietrze. Rzec wymaga wyjaśnienia, ponieważ... bezdomny powiesił się w radiowozie, na pasku od spodni a klepsydry o jego pogrzebie pojawiły się dzień po ostatnim pożegnaniu, podpisane przez „rodzinę”, której od dzieciństwa nie miał. Michał Wińczewski właśnie rodziny... poszukiwał. Od dzieciństwa wychowywał się w „bidulu”/domu dziecka/.

Na początku marca 2007 roku miał składać zeznania w sprawie wyłudzenia kredytów przez „szanowanego przez władze biznesmena z Bornego Sulinowa”.

Zdzisław R. Mac

współpraca:

Elżbieta Leśniczek, Maciej Kuśmierk

Od autorów:

Czytelników posiadających informację na temat ostatnich dni życia Michała Winczewskiego prosimy o kontakt /tel.: +48 790808523, info@wp.pl/.

Zobacz także: www.borneoradio.prv.pl /ij